

Dla kogo jest katolicki pogrzeb?

Fakt katolickiego pochówku znanego warszawskiego ginekologa, prof. Romualda Dębskiego, stał się przyczyną ostrej kontrowersji w środowisku ludzi wierzących. Przez jednych okrzyknięty wspaniałą osobowością, wybitnym specjalistą, luminarzem i autorytetem, był on przez innych uważany za kogoś, kto swoimi poglądami i praktyką lekarską poważnie godził w zobowiązania wynikające z przyrzeczenia lekarskiego. Oburzenia nie kryli szczególnie obrońcy życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Prof. Dębski znany był ze swego zdecydowanego poparcia dla aborcji i twierdzenia, że ginekolog powołujący się na klauzulę sumienia, kieruje się względami ideologicznymi, które nie powinny być respektowane przez ustawodawcę. Wielu zadawało pytanie, czy osobie, która w publicznej debacie zajmowała stanowisko tak dalece sprzeczne z katolicką wiarą i moralnością, nie powinno się odmówić katolickiego pogrzebu?

Warto się tej problematyce przyjrzeć bardziej ogólnie, abstrahując na chwilę od tego konkretnego przypadku. Czym jest, a czym nie jest pogrzeb katolicki? Otóż nie jest on jakąś formą sądu nad zmarłym, która byłaby równoznaczna z wydaniem wyroku w miejsce sądu Bożego i w Jego imieniu. Oczywiście tam, gdzie ktoś do końca publicznie odżegnywał się od wspólnoty wierzących, katolicki pochówek nie powinien mieć miejsca – z szacunku dla zmarłego, który sobie tego nie życzył. Katolicki pogrzeb może się jednak odbyć wszędzie tam, gdzie ktoś przed śmiercią, niezależnie od tego, jakie życie prowadził, prosił Boga o przebaczenie swoich grzechów, a Kościół o sakramentalne towarzyszenie w swoim przedśmiertnym utrapieniu. Wspólnota wierzących żegna w ten sposób swoich ochrzczonych członków, pozostawiając ich dalszy los Bożemu miłosierdziu i Bożej sprawiedliwości.

Trzeba jednak z naciskiem podkreślić także to, że katolicki pochówek dla osób, które mimo bycia ochrzczonymi w ciągu swojego życia pozostawały daleko od życia i nauki Kościoła, nie oznacza bagatelizowania ich życiowej postawy. Nie oznacza, że wszystko jest pozostawione jedynie subiektywnej ocenie sumienia, a diametralnie różne postawy, jak np. sprzeciw wobec aborcji z jednej i przyzwolenie na nią z drugiej strony, są tylko dwoma równorzędnymi opcjami, które ostatecznie i tak mają taką samą wartość. Niezależnie od tego, ile ciepłych słów pada przy trumnie zmarłego, ostatnie słowo należy do Boga, którego czcimy zarówno jako Miłosiernego Ojca, jak i jako Sprawiedliwego Sędziego. Czyni człowieka

wynikające z jego wewnętrznego nastawienia, są istotne i będą decydowały o wiecznym losie człowieka, jednak jedynie Bóg zna tajniki ludzkiego serca i wie, ile w tych czynach było złej woli i świadomego przekraczania przykazań, ile zaciemnienia, ile wcześniejszych ran, zgorśnień i rozczarowań, które oddzielały od Bożej drogi i zniechęcały do niej.

Mimo to nie da się zaprzeczyć, że sytuacje podobne do tej, która została opisana powyżej, stają się źródłem zamętu i natrętnych pytań. Pojawiają się one szczególnie wtedy, gdy ktoś kierujący się wiernością wobec Ewangelii i nauki Kościoła i doznający z tej racji wielu upokorzeń i cierpień, odnosi wrażenie, jakby ludzie zajmujący postawę diametralnie odmienną, byli traktowani przez Kościół z takim samym, a może nawet jeszcze większym szacunkiem. Trzeba jeszcze raz podkreślić, że szacunek, jaki w Kościele okazywany jest zmarłym, nie oznacza wydawania osądu o ich życiu. Każdy świadomy i dobrowolny czyn ma nie tylko swoje zewnętrzne konsekwencje, ale także wpływa na wewnętrzną kondycję tego, kto go dokonuje. Kto świadomie i dobrowolnie czyni zło, w jakimś stopniu czyni siebie samego niezdolnym do wiecznego życia z Bogiem. Kościół wierzy, że jeżeli mimo wszystko w ostatniej chwili życia chwyta się Bożego miłosierdzia, może zostać ocalony i ostatecznie dopuszczony do wiecznej wspólnoty z Bogiem, jednak Bóg nie unieważnia osobowych konsekwencji dokonanego zła. Bolesny proces dojrzewania do nieba dla kogoś, kto przed swoją śmiercią mimo swoich licznych grzechów pokornie zwrócił się do Boga o miłosierdzie; proces, który w nauce Kościoła nosi nazwę czyśćca i który należy liczyć nie tyle czasem, ile raczej intensywnością, nie zostanie nikomu zaoszczędzony.

Warto w tym kontekście przywołać fragmenty wypowiedzi kard. Josepha Ratzingera, które mimo pół wieku, jakie upłynęło od ich napisania, nie straciły nic ze swej aktualności: „Człowiek w wyniku śmierci wychodzi w niezastoniętą rzeczywistość i prawdę. Zajmuje teraz takie miejsce, jakie mu naprawdę przysługuje. Skończyła się gra pozorów, ukrywanie się w pozach i fikcjach. [...] Sąd jest po prostu ujawnieniem się prawdy”. Czyściec „nie jest rodzajem obozu koncentracyjnego na drugim świecie. [...] Jest to raczej podyktowany wewnętrzną koniecznością proces przemiany człowieka. [...] Spotkanie z Panem jest tą przemianą, ogniem, jaki przepala człowieka do owej czystej postaci, która może stać się naczyniem wiecznej radości”.

Czy tak się stanie w przypadku osób, których postępowanie w ciągu ich życia dalekie było od miary Ewangelii? Tego nie wiemy. I dlatego, jeśli tylko możemy przypuszczać, że przedśmiertne godziny jakiegoś zmarłego naznaczone były pragnieniem Bożego miłosierdzia,

towarzyszimy mu jako wspólnota wierzących w jego ostatniej drodze. Reszta należy już tylko do Boga.

Luty 2019

Jeszcze o języku nienawiści

Po brutalnym zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w styczniu 2019 z wielu mediów słyszy się nawoływania do zaprzestania mowy nienawiści. Takie apele – jeżeli tylko zostaną zrealizowane, i to najpierw w wypowiedziach tych, którzy je wystosowują – mogą debacie publicznej wyjść jedynie na dobre. Jej poziom jest doprawdy skandaliczny. Odzwierciedla on niestety poziom codziennej komunikacji Polaków. Oczywiście, z jaką w głośnych dialogach w miejscach publicznych pojawiają się wulgaryzmy i wyzwiska najgorszego rodzaju, odzwierciedla to, co dzieje się w umysłach ludzi. Jeżeli faktycznie, jak powiedział Jezus, „z obfitości serca usta mówią” (Łk 6, 45), to nie sposób bez przerażenia wyobrazić sobie, co dzieje się w ludzkich sercach i umysłach, skoro wylewa się z nich takie bagno. Wulgarnymi, poniżającymi i krzywdzącymi wypowiedziami polityków można by wypełniać całe tomy.

W debacie publicznej musi być oczywiście miejsce na spór i krytykę. Musi też być dopuszczalne swobodne wypowiadanie opinii, także tych, które oponentom politycznym i ideologicznym się nie podobają. Kluczowe jest jednak to, w jaki sposób się to dzieje. Niestety w sferze publicznej pada wiele słów, które po prostu krzywdzą, które stają się narzędziem poniżenia i wyśmiania drugiego, które przypisują mu najgorsze zamiary, które pozostawiają po sobie spaloną ziemię: niczego nie naprawiają, nikogo nie przekonują, tylko dogłębnie ranią i nic więcej. I właśnie często w tym celu bywają wypowiadane. Jeżeli tak się dzieje, to jest to faktycznie mowa nienawiści.

Do wyrażenia „mowa nienawiści” trzeba jednak podchodzić z pewną rezerwą, a może nawet umieścić je w cudzysłowie, gdyż jest to nie tylko opis pewnego zjawiska socjologicznego. Ta zbitka słowna stała się orężem w wojnie ideologicznej, sekwencją ucinającą każdą dalszą dyskusję, narzędziem służącym do zamykania ust oponentom ideologicznym, gdy wypowiadają poglądy, które nie mieszczą się w głównym nurcie idei uznanych za postępowe, a więc także jedynie słuszne. Nie sposób nie przyznać racji stwierdzeniu Georga Orwella, autora słynnej czarnej utopii zatytułowanej „Rok 1984”: *Prawda jest mową nienawiści dla tych, którzy mają coś do ukrycia.*

Warto w kontekście publicznej debaty o mowie nienawiści spojrzeć chociażby na jedno z coraz bardziej popularnych (bo intensywnie powtarzanych i w ten sposób popularyzowanych) słów. Mam na myśli słowo „homofob”. Roszczenia osób homoseksualnych, by uprzywilejować ich związki, przyznając im status małżeństwa oraz odpowiadające temu statusowi prawa, są w ostatnich latach wyrażane coraz głośniejsze i coraz bardziej natarczywie. Chociaż żadna forma poniżania i agresji, także słownej, wobec takich osób jest absolutnie niedopuszczalna – i to przyzna chyba każdy rozsądny człowiek –, to jednak odnośnie do charakteru tzw. orientacji seksualnej (czyli pytania o to, czy jest ona jedną z normalnych orientacji seksualnych, czy też rodzajem psychoseksualnej dysfunkcji), jak też odnośnie do statusu społecznego związków osób tej samej płci, można mieć odmienne zdanie. A przynajmniej mogłoby się wydawać, że można je mieć. O ile bowiem szereg określeń obraźliwych i krzywdzących gejów i lesbijki słusznie wyrugowano z debaty publicznej, o tyle słowo „homofob” króluje w niej w najlepsze. Pojawia się ono nie tylko w wypowiedziach polityków i w mediach, ale także w międzynarodowych dokumentach. Co sugeruje to słowo? Otóż homofobia jest definiowana jako „strach przed homoseksualizmem i osobami orientacji homoseksualnej, awersja, nieufność, nienawiść i wrogość do osób homoseksualnych skutkująca nierzadko ich dyskryminacją”. Problem w tym, że większość osób uważających homoseksualizm za psychoseksualną dysfunkcję i sprzeciwiających się przyznaniu związkom takich osób statusu małżeństwa, wcale czegoś takiego nie odczuwa. Co więcej, czasami osoby takie mają wśród swoich znajomych także gejów i lesbijki, którzy nierzadko wcale nie identyfikują się z postulatami homoseksualnych lobbystów. Przeciwnicy małżeństw homoseksualnych nie odczuwają też zazwyczaj jakichkolwiek objawów zaburzeń nerwicowych (a fobia jest fachowym określeniem takiego zaburzenia). Mają po prostu inny pogląd na pewne kluczowe kwestie dotyczące ludzkiej seksualności, małżeństwa i rodziny.

Jak się okazuje takie odmienne poglądy mieć im nie wolno. W niektórych krajach Europy łątka „homofoba” piętnuje i negatywnie naznacza osobę, która tak zostanie określona i może się wiązać z utratą stanowiska, z przekreśleniem kariery akademickiej, z wykluczeniem z debaty publicznej czy nawet konsekwencjami karnymi. Określenie „homofob” nie opisuje i nie wyjaśnia niczego i też nie do opisu rzeczywistości zostało stworzone. Jest to klasyczne znamię społeczne, mające na celu napiętnowanie, wyszydzenie, wywołanie presji i wymuszenie postawy spolegliwej. Czyż nie takie właśnie cechy ma jednak język nienawiści? Mamy zatem w przypadku tego wszechobecnego słowa do czynienia z klasyczną mową

nienawiści, ponieważ jednak używana jest ona przez zwolenników jedynie słusznego, bo postępowego poglądu na świat, określa się ją już inaczej – jako wolność słowa.

Marzec 2019

O Manifeście Wiary

Nie ulega wątpliwości, że żyjemy w czasach zamętu dotyczącego naszej wiary. Nie jest to wcale większy zamęt, niż ten w V w., gdy św. Augustyn musiał patrzeć na niszczenie dotychczas kwitnącego Kościoła w północnej Afryce. I nie jest on większy, niż był w XVI w., gdy Kościół w Europie na fali Reformacji został rozdarty niemalże na strzępy. Zamęt ten nie jest też większy od tego w czasach władzy komunistycznej, gdy otwarte wyznawanie wiary stanowiło akt odwagi cywilnej. Dzisiejszy zamęt nie jest większy, niż ten z przeszłości, ale jest nasz i trzeba sobie z nim poradzić, tak jak radziły sobie z nim pokolenia wierzących, które nas poprzedziły. Nasz czas zamętu charakteryzuje się zachwianiem pewności wiary, na której można było dotychczas oprzeć swoją duchową egzystencję. Podejście relatywistyczne, według którego wszyscy mają rację, chociaż zajmowane stanowiska diametralnie od siebie odbiegają, powoduje utratę orientacji i duchowy niepokój. Elementem tego zamętu jest stawianie pod znakiem zapytania nie tylko kwestii drugorzędnych dotyczących wiary, ale także fundamentalnych prawd, które dotychczas uchodziły za wyznaczniki katolickiej tożsamości.

Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji wielu chrześcijan zwraca się ku tym, którzy nie tylko uchodzą za autorytety w zakresie wiedzy teologicznej, ale także są znani jako głęboko wierzący i wierni Chrystusowej Prawdzie pasterze i mistrzowie. Do takich osób należy niewątpliwie kard. Gerhard Ludwig Müller, który w latach 2012-2017 pełnił funkcję Prefekta Kongregacji Nauki Wiary – instancji w Kościele katolickim odpowiedzialnej za prawowierność. Kard. Müller należy do tych hierarchów kościelnych, którzy aktywnie uczestniczą w toczącej się wewnątrz Kościoła katolickiego debacie. Wyrazem tej aktywności jest „Manifest wiary” – rodzaj wyznania wiary, który kardynał opublikował na początku lutego 2019 r. Kard. Müller sam wyjaśnia powód, dla którego zdecydował się na ten niecodzienny i spektakularny krok. Jest nim „sytuacja rozszerzającego się zamieszania w nauczaniu wiary”, a także skierowana do niego prośba wielu wiernych i pasterzy „o złożenie publicznego świadectwa Prawdzie Objawienia”. „Manifest wiary” nie jest bowiem wyrazem prywatnych przekonań kardynała, ale zestawem odniesień do Katechizmu Kościoła Katolickiego, dotyczących podstawowych

prawd wiary katolickiej. Dopiero teraz, po dwudziestu sześciu latach od czasu publikacji Katechizmu, można docenić dalekosiężne spojrzenie Jana Pawła II, bez którego determinacji idea sformułowania nowego Katechizmu Kościoła Katolickiego na pewno nie zostałaby zrealizowana. Od czasu jego publikacji stanowi on punkt odniesienia dla wierzących w podstawowych kwestiach wiary. Czterostronicowy tekst „Manifestu wiary” Kard. Müllera zawiera odniesienia do ponad czterdziestu punktów katechizmu dotyczących zarówno wiary w Tróję i rozumienia Kościoła, porządku moralnego i sakramentalnego, jak też nadziei życia wiecznego.

Nie brakuje krytyków, którzy zarzucają Kard. Müllerowi wzniecanie niepokoju w Kościele oraz koncentrowanie się jedynie na pewnych prawdach, a przez to zbytnie ich akcentowanie, a pomijanie całego szeregu innych. Warto jednak postawić pytanie bardziej zasadnicze: Czy wierzący katolicy mają w ogóle w sytuacji zamętu sięgać „w tył”, do schematów ustalonych w przeszłości, czy też nie powinni raczej patrzeć „naprzód” i poszukiwać właściwych odpowiedzi na wyzwania teraźniejszości i przyszłości? Nie bez powodu wyrażenia „w tył” i „naprzód” zostały w tym pytaniu wzięte w cudzysłów, gdyż w dziedzinie wiary trzeba dokonać ich weryfikacji. Chrześcijanin jest z jednej strony niejako „z natury konserwatywny”, co oznacza, że swoją tożsamość opiera na Bożym Objawieniu, którego historycznym wyrazem jest Pismo święte oraz doświadczenie jego odczytywania i życia nim przez pokolenia wierzących, wyrażone w Tradycji i nauczaniu Kościoła. Wierzący wie, że bez tego światła nie odnajdzie właściwej drogi, pozwalającej zmierzyć się z wyzwaniami teraźniejszości i prowadzącej ku pomyślnej przyszłości. Chrześcijanin zachowuje się zatem jak wioślarz, który po to, by wydobyć wystarczająco dużo siły ze swoich ramion, musi siedzieć tyłem do kierunku, w jakim płynie łódź. I chociaż co jakiś czas się odwraca, patrząc, czy na jego drodze nie ma przeszkód, to jednak właściwy kierunek zachowuje wpatrując się w ustalony wcześniej punkt na widnokręgu, z którego wyruszył.

Oczywiście takie „z natury konserwatywne” podejście nie oznacza, że można „zakonserwować” wczorajszy świat i przenieść go wraz z jego odpowiedziami na wyzwania przeszłości do czasów dzisiejszych. Taki konserwatyzm byłby żałosny i szkodliwy. Oznacza ono natomiast, że poszukując odpowiedzi na wyzwania teraźniejszości, nie wolno utracić swojej tożsamości. Będzie to możliwe wtedy, gdy fundamentalne prawdy wiary, które były zachowywane w Kościele przez dwadzieścia wieków, pozostaną punktami orientacyjnymi także dzisiaj. Jest to konserwatyzm w najlepszym znaczeniu tego słowa: *conservare* oznacza zachować od zepsucia rzeczy wartościowe, nie wyprzedać po zaniżonych cenach rzeczy

najwartościowszych, ocalić prawdy, które się sprawdziły. Rzeczy drugorzędne mogą i muszą ulec modyfikacji. Warto w tym kontekście przypomnieć jedną z dawnych maksym, która pozostaje aktualna także w obliczu współczesnego zamętu: *In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas* (W rzeczach koniecznych – jedność, w sprawach wątpliwych – wolność, we wszystkim – miłość).

Kwiecień 2019

Bitwa Warszawska 2019

Właściwie nie powinno się używać tego określenia do jakiegokolwiek innego wydarzenia, skoro bitwa pod Warszawą z roku 1920, znana także jako Cud nad Wisłą, stanowi tak istotny punkt zwrotny w dwudziestowiecznej historii Polski i całej Europy. Mimo to najnowsza bitwa o Warszawę, zainicjowana podpisaniem przez nowego prezydenta Stolicy – Rafała Trzaskowskiego deklaracji „Warszawska Polityka na Rzecz Społeczności LGBT+”, może okazać się forpocztą wyzwania dla Polski, porównywalnego w skutkach z tym sprzed niespełna stu lat.

Kto czyta deklarację warszawską, nie może się oprzeć wrażeniu, że najbardziej palącym problemem społecznym Stolicy są masowe prześladowania gejów, lesbijek oraz osób trans-, bi- oraz inaczej-seksualnych, mające rzekomo miejsce w każdej dziedzinie życia publicznego, poczynając od szkół, poprzez zakłady pracy, aż do organizacji sportowych. W tych i wszystkich innych dziedzinach życia ma zostać stworzona sieć mechanizmów prawnych oraz instytucji i osób, które będą reagowały na każdy przejaw homofobii i transfobii. Z dotychczasowej dyskusji medialnej należy wyprowadzić wniosek, że te dwa pojęcia oznaczają każdy przejaw krytyki wobec idei płci kulturowej (gender) oraz zachowań w jej kontekście promowanych. Jak można wywnioskować z deklaracji, nowe władze Warszawy są zdania, że dyskusja na ten temat się definitywnie skończyła i pora przejść do czynu. Od teraz każdy kontrahent współpracujący ze Stolicą, który nie będzie gotów zgodzić się na zawartą w umowie z miastem tzw. „klauzulę antydyskryminacyjną”, będzie musiał się liczyć z sankcjami; każdy uczeń krytykujący związki jedнопłciowe będzie musiał liczyć się z tym, że zostanie zgłoszony do powołanego w jego szkole tzw. „latarnika”, czyli aktywisty, wypatrującego oznak homofobii; z drugiej strony każdy, kto stworzy klub sportowy dla gejów i lesbijek może liczyć za wsparcie władarzy stolicy; każdy też zwolennik LGBT, który w jakiejś warszawskiej galerii zaprezentuje

jakąś (np. obsceniczną lub wulgarną) instalację, może liczyć na pełne poparcie władz w imię pełnej wolności sztuki – by wymienić tylko kilka z punktów deklaracji.

Najpoważniejszy sprzeciw wzbudził jednak zawarty w deklaracji postulat wprowadzenia w każdej warszawskiej szkole zajęć z edukacji seksualnej, których program ma być zgodny z wytycznymi i standardami Światowej Organizacji Zdrowia. Ta z pozoru niewiele znacząca wzmianka zawiera rzeczywiście eksplozywny potencjał. Otóż wspomniane standardy WHO to wydany w 2010 roku dokument zatytułowany *Standardy Edukacji Seksualnej w Europie. Podstawowe zalecenia dla decydentów oraz specjalistów zajmujących się edukacją i zdrowiem*. W zawartych w tym dokumencie tzw. matrycach, opisujących cele edukacji seksualnej w zakresie wiedzy, umiejętności i postaw dzieci i młodzieży, znajduje się m.in. następujący zapis dla dzieci w wieku 0-4 lat: „Radość i przyjemność z dotykania własnego ciała, masturbacja w okresie wczesnego dzieciństwa”. Ten sam zapis pojawia się w matrycach dla dzieci w wieku 4-6 lat. Dzieci w wieku 6-9 mają być zaznajamiane ze środkami antykoncepcyjnymi, natomiast dzieciom w wieku 9-12 lat ma być prezentowana lista tzw. praw seksualnych sformułowana przez *International Planned Parenthood Federation* (Międzynarodową Federację Planowanego Rodzicielstwa) - największą proaborcyjną organizację na świecie. Niemalże od najwcześniejszego dzieciństwa mają też być prezentowane dzieciom kwestie dotyczące równości różnych orientacji seksualnych i opartych na nich związkach. Nie ulega wątpliwości, że wytyczne WHO są programem wczesnej seksualizacji dzieci, którego celem jest wychowanie nowego pokolenia ludzi w pełni akceptujących roszczenia społeczności LGBT. Nie sposób oprzeć się w tym miejscu gorzkiej refleksji: gdyby którykolwiek z tych tematów został podjęty w rozmowie z dziećmi przez jakiegokolwiek katolickiego księdza, bez wątpienia musiałby się liczyć z zarzutem pedofilii i ponieść za to odpowiedzialność karną. W warszawskiej deklaracji takie podejście ma się stać natomiast obowiązującą normą i nie tylko nie jest już wtedy pedofilią, ale jest wyrazem nowoczesnej i otwartej na różnorodność edukacji.

Trudno się dziwić, że w Warszawie budzi się sprzeciw wobec tej toksycznej dla umysłów dzieci agendzie. Sprzeciw wobec warszawskiej deklaracji to nie tylko odruch zdrowego rozsądku, ale także niezbędny odruch samoobrony wobec ekspansji mającego cechy totalitarne podejścia, w ramach którego tożsamość płciowa i aktywność seksualna stają się osią życia osobistego i społecznego i zasługują na szczególny szacunek, jeżeli tylko jest to tożsamość i aktywność „nieheteronormatywna”, czyli inna, niż normalna relacja między

mężczyzną i kobietą. Sprzeciw taki dotyczy także próby naruszania konstytucyjnego prawa rodziców do decydowania o sposobie edukacji seksualnej swoich dzieci.

Podpisanie deklaracji warszawskiej przez nowego prezydenta Warszawy ma jednak także jedną pozytywną stronę: oznacza zdjęcie masek i pokazanie w całej rozciągłości programu nie tylko środowisk LGBT, ale także sympatyzujących z nimi partii politycznych. Taka klarowność może być kluczowa w kontekście zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego oraz jesiennych wyborów parlamentarnych w kraju. Każdy, komu zależy na dobru małżeństwa i rodziny i kto nie chce się kiedyś obudzić w genderowym raju, powinien dobrze się zastanowić, w którym miejscu postawi swój krzyżyk na karcie wyborczej.

Maj 2019

Benedykt o pedofilii

W kontekście toczącej się debaty na temat pedofilii, skoncentrowanej jednostronnie na kwestii pedofilii w Kościele, papież-senior Benedykt zdecydował się na krok, którego nikt się chyba nie spodziewał. Napisał esej, którego niemiecka (zapewne oryginalna) wersja została opublikowana (jak zaznaczono, za zgodą papieża Franciszka) w bawarskim periodyku dla księży „Klerusblatt”. Jest to bardzo ważny tekst. Jego autor nie szczędzi surowej krytyki postaw osób duchownych, nie tylko sprawców, ale także kościelnych decydentów, których bezczynność sprawiła, że przypadki molestowania seksualnego nieletnich nie były traktowane z całą surowością, na jaką zasługiwały. Benedykt jednak nie pozostaje na tej częściowej diagnozie, lecz umiejscawia kwestię pedofilii w Kościele w szerokim kontekście tendencji społecznych i politycznych w powojennej historii zachodniego świata.

Papież-senior przypomina niewygodną prawdę, że rewolucja seksualna roku 1968 doprowadziła do wytworzenia swoistej normatywnej próżni, będącej skutkiem zanegowania wszelkich dotychczasowych norm w zakresie ludzkiej seksualności. Nie pozostało to bez wpływu na kondycję psychoseksualną kandydatów do kapłaństwa, jak też odpowiedzialnych za ich formację w tamtych latach. Szokująco brzmią słowa Benedykta, w których przywołuje on przykładowe fakty i zachowania, takie jak istnienie homoseksualnych grup w seminariach duchownych czy też eksperymenty biskupów i moderatorów, którzy w miejsce klasycznej katolickiej moralności zaczęli tworzyć własną jej wersję. Do „fizjonomii” rewolucji seksualnej,

jaka rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku należało także traktowanie pedofilii jako zachowania tolerowanego, czy wręcz nawet dopuszczalnego.

Esej Benedykta zawiera dłuższy passus, dotyczący rewolucyjnych zmian, jakie dokonały się w teologii moralnej, który wymagałby szerszego omówienia. W tym miejscu jednak ograniczmy się do stwierdzenia faktu, że trwający do dziś kryzys moralny tamtego czasu mógł wyrządzić tak wielkie spustoszenie w Kościele i społeczeństwie także z powodu kierunku, jaki przybrała posoborowa reforma teologii moralnej. Konieczność jej odnowy nie ulegała w dobie soborowej żadnej wątpliwości, gdyż dotychczasowe zbyt kazuistyczno-prawne nachylenie teologii moralnej stanowiło jej niebezpieczne zawężenie. Zaproponowane i upowszechnione zmiany sprawiły jednak, że stała się ona niezdolna do udzielenia odpowiedzi na konkretne bieżące pytania, a dostarczała jedynie ogólnych rad, pozostawiając konkretne odpowiedzi indywidualnym rozstrzygnięciom jednostki. W dosyć daleko idącym uproszczeniu można stwierdzić, że zanegowano istnienie moralnej granicy, która byłaby niezależna od wszelkich kalkulacji strat i zysków. Doprowadziło to do zanegowania niepodważalnego dotychczas przekonania, że istnieją czyny, które są moralnie złe same w sobie, niezależnie od jakiegokolwiek sytuacji i okoliczności czy też intencji osoby działającej. Wszystko, również w dziedzinie płciowości, zostało zrelatywizowane. Na drugi plan zeszło to, co zdaniem Benedykta jest w moralności chrześcijańskiej najistotniejsze i co stanowi o jej tożsamości: związek zasad moralnych z wiarą, szczególnie z obrazem Boga. Bez tego związku wspólnoty chrześcijańskie przestały być przestrzeniami życiowymi, w których podzielane są i przekazywane następnym pokoleniom wspólne przekonania moralne.

W swoim eseju Benedykt zwraca uwagę jeszcze na jedną kwestię. Realnym niebezpieczeństwem w obecnej sytuacji jest to, że przypadki pedofilii w Kościele spowodują niechęć i dystans do wspólnoty Kościoła, a nawet pragnienie stworzenia jakiegoś nowego Kościoła, który w wyobrażeniu protagonistów takiej idei byłby wolny od wszelkich nadużyć. Z właściwą sobie przenikliwością Benedykt stwierdza, że idea Kościoła zbudowanego jedynie według ludzkich pomysłów, miar i wzorców jest w rzeczywistości propozycją szatańską i ma na celu osłabienia siły i rozmontowanie więzi, jakie łączą ze sobą wierzących.

Tekst papieża-seniora stanowi istotne uzupełnienie diagnozy, jaka dominuje w magisterialnych, również papieskich, wypowiedziach ostatnich lat, w których pedofilia bywa wiązana z klerykalizmem i nadużyciem władzy. Nie ulega oczywiście wątpliwości, że zjawisko pedofilii – czy to w Kościele czy też poza nim – zawsze bazuje na nadużyciu władzy rodzicielskiej lub wychowawczej. Władza ta jest rezultatem przewagi, jaką daje wiek i życiowe

doświadczenie sprawców, bądź też płynie z relacji zaufania, jaka zazwyczaj łączy sprawców i ofiary. Nie ulega też wątpliwości, że grzechowi pedofilii może towarzyszyć poczucie bezkarności związane ze statusem kapłana w społeczeństwie bądź też związane ze słabością przełożonych i odpowiedzialnych. Jednak to nie jest wyczerpująca diagnoza. Nagromadzenie czynów pedofilskich jest jednym z zatrutych owoców nachalnej seksualizacji społeczeństw, jaka miała miejsce w ostatnich dekadach oraz rozmycia wszelkich norm moralnych, uznanych za opresyjne i krępujące wolność. Szczególnie odrażająca forma tych czynów, jaką stanowią grzechy osób duchownych, jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Pedofilia w Kościele jest ujawniana i szeroko komentowana. I trzeba stwierdzić, że jest to niezbędny, chociaż bolesny etap oczyszczenia wspólnoty wierzących z tego odrażającego zła. Szokujące rozmiary pedofilii, jaka ma miejsce poza Kościołem, czeka jeszcze na swoje ujawnienie i adekwatną ocenę.

Czerwiec 2019

Epoka wpływu

Takie wydarzenia, jak majowe wybory do Parlamentu Europejskiego, mogą skłonić do refleksji na temat tego, w jaki sposób funkcjonuje we współczesnych społeczeństwach sfera, którą określa się jako opinia publiczna. Jakaś forma dyskursu, obejmującego mniejsze czy większe grupy społeczne, istniała od zawsze. Od zawsze też wywierała ona na tyle istotny wpływ na społeczność, że nie tylko sprawujący jakąkolwiek władzę, ale też zwykli obywatele musieli się z nią liczyć. Opinia publiczna to pewien podzielany przez wielu sposób postrzegania wydarzeń; swoiste narzędzie umożliwiające zrozumienie i interpretację świata; pewna logika, według której dokonuje się ocen – i to nie tylko moralnych, ale także estetycznych lub praktycznych, a więc związanych z przydatnością.

Kolejne przełomy, które coraz bardziej podkreślały rolę opinii publicznej, były związane z coraz większą dostępnością informacji, a więc najpierw z wynalezieniem druku, potem z pojawieniem się prasy, wreszcie z pojawieniem się radia i telewizji, a ostatecznie z upowszechnieniem Internetu. Bez uwzględnienia tego ostatniego elementu trudno byłoby zrozumieć funkcjonowanie współczesnej opinii publicznej. Stała się ona tak dalece znaczącym czynnikiem, że decyduje o funkcjonowaniu społeczeństw, o losach partii politycznych i polityków, o ustanawianych normach prawnych, nie mówiąc już o funkcjonowaniu gospodarki. Znaczący jest tu zasięg jej wpływu, który staje się coraz bardziej globalny.

W analizach polityczno-historycznych próbuje się niekiedy wyróżniać pewne większe odcinki czasu, które naznaczone są jakąś dominującą tendencją. W dwudziestowiecznych prognozach dotyczących wieku XXI używano czasami określenia *Age of Access* – Epoka Dostępu. Kryzys surowcowy, szczególnie odnoszący się do surowców energetycznych, miał spowodować, że wojny będą się toczyły już nie o terytoria, ale o dostęp do surowców. Jest w tym niewątpliwie jakieś ziarno prawdy. Wydaje się jednak, że wiek XXI coraz bardziej zasługuje na inną nazwę: *Age of Influence* – Epoka Wpływu. Skuteczny wpływ na opinię publiczną decyduje coraz bardziej nie tylko o kierunku polityki czy publicznej moralności, ale pociąga za sobą możliwość decydowania o zachowaniach jednostek.

Nic dziwnego, że współczesne wojny – z pozoru jedynie wirtualne, chociaż pociągające za sobą realne ofiary – są wojnami o skuteczny wpływ przede wszystkim w Internecie. Pojawiła się nowa kategoria ludzi – influencerzy. Zazwyczaj odnosi się to określenie do internetowej blogosfery czy też świata reklam, jednak można go użyć także wobec wszystkich pragnących mieć szeroki wpływ na to, jak inni myślą i decydują. Można je odnieść także do dziennikarzy, chociaż tradycyjne dziennikarstwo, które opierało się na idei rzetelnego relacjonowania wydarzeń, dostarczania prawdziwej i szybkiej informacji, poszukiwania prawdy i ujawniania jej dla dobra społeczeństwa, wydaje się być dzisiaj czymś w rodzaju dawnego gramofonu, pełniącego rolę raczej dekoracyjną. Tajemnica dziennikarska, której celem jest możliwość ujawnienia ważnych dla społeczeństwa informacji o nadużyciach, łamaniu prawa i nieuczciwości, bez podawania ich źródła i mimo sprzeciwu i gróźb osób w takie działania zamieszanych, staje się nierzadko parawanem służącym ukrywaniu propagowania informacji niesprawdzonych, a nawet tworzenia fałszywych. W ten sposób powstaje coś, co określa się faktem medialnym. Zazwyczaj oczywiście prędzej czy później taka fałszywa informacja zostaje zweryfikowana, ale atmosfera, jaką wytworzyło jej podanie do wiadomości, pozostaje jeszcze długo. I poważnie wpływa na sposób myślenia odbiorców.

Sposób w jaki funkcjonują internetowe portale informacyjne sprawia, że influencerzy nie muszą nawet sięgać po fałszywe informacje. Wystarczy sięganie po negatywne lub pozytywne (prawdziwe) fakty dotyczące jakichś grup społecznych w krótkich odstępach czasu, by wytworzyć odpowiednio negatywną lub pozytywną atmosferę wokół nich. Staje się ona źródłem stereotypów, a te wpływają na polityczne, ekonomiczne i życiowe preferencje i decyzje jednostek. Nie jest też tajemnicą, że opinia publiczna urabiana jest przez tzw. „agentów wpływu”. Jak na agentów przystało, nie są to osoby aktywne na pierwszej linii świata mediów, które by jasno deklarowały swoje poglądy i zamiary. Ich (suto opłacanym) zadaniem

jest urabianie opinii, tworzenie tła, a więc schematów interpretacyjnych, akcentowanie informacji pozytywnych i relatywizowanie negatywnych, itd.

Jedną z cech Epoki Wpływu jest to, że wielcy światowi gracze nie gardzą żadną okazją do wpływania na innych, także za pomocą środków bardzo prymitywnych. Istnieją zatem mocno siermiężni influencerzy w postaci internetowych hejterów – osób, które wypisują negatywne komentarze pod informacjami dotyczącymi innych osób i instytucji, których celem jest zdyskredytowanie ich w opinii publicznej. Nierzadko wypisywanie tego rodzaju komentarzy bywa również opłacane. I chociaż są to zazwyczaj komentarze prymitywne i wulgarne, również taki wpływ okazuje się w pewnych grupach społecznych jak najbardziej skuteczny. Z racji, że tego typu przepychanki internetowe są powiązane z silnymi emocjami, pojawia się także pewien szczególny rodzaj hejterów: są to osoby, które nie czerpią ze swojej aktywności żadnych zysków poza przyjemnością płynącą z czegoś, co można by nazwać bezinteresowną nienawiścią.

Co więc ma zrobić chrześcijanin, gdy uświadomi sobie wszystkie te źródła i sposoby wywierania nacisku, które w Epoce Wpływu starają się sformatować jego umysł i przez to współdecydować o jego preferencjach, emocjach i wyborach? Jest tylko jedna droga do zachowania chociażby odrobiny niezależności: dokonywanie uważnego wyboru tego, co czytam i oglądam, a szczególnie rozsądne, a nawet w pewnych wypadkach ascetyczne korzystanie z Internetu.

Lipiec 2019

Oblicza niewierności

Kiedy katolicki ksiądz odchodzi z kapłaństwa, trudno pozbyć się uczucia smutku. Jest to trudne przynajmniej dla kogoś, komu na sercu leży dobro Kościoła, chociaż są też i inne reakcje. Zbieżność znaczeń słowa „odchodzić” z ostatecznym odejściem, jakim jest śmierć, nie jest tu przypadkowa. Coś, co rozpoczynało się fascynacją i zdecydowanym wyborem, umiera. Wobec takich decyzji ludzie zazwyczaj powstrzymują się od zbyt pośpiesznych ocen, wiedząc o tym, jak skomplikowane są ludzkie losy i jak dramatyczne potrafią być ludzkie wybory. Któż może znać wszystkie przyczyny i tło tej ostatecznej decyzji, która sprawia, że ksiądz staje się eksksjędzem?

Inaczej jest, gdy odchodzący kapłan robi ze swojego odejścia spektakl, prowokując niejako reakcję otoczenia. Tak zdarzyło się ostatnio w jednej ze śląskich parafii. Po procesji Bożego Ciała ksiądz oznajmił parafianom, że kapłaństwo było wprawdzie zupełnie w porządku, ale on od dzisiaj nie będzie sprawował już czynności kapłańskich, gdyż rozpoczyna nowe życie u boku ukochanej kobiety. Nie można nie zadać pytania, co czuje kapłan, który podejmuje decyzję odejścia, a jednocześnie jakiś czas jeszcze spowiada i sprawuje Eucharystię, która jest pamiątką ofiary z życia, którą on – kapłan ma swoim własnym życiem uobecniać? Czy uświadamia sobie wagę swojej decyzji, czy też nowa miłość przesłania wszystko inne? Może sądzi, że będzie mógł służyć Bogu równie dobrze jako mąż i ojciec. I tu w zasadzie ma rację, gdyż każdy normalny ksiądz mógłby równie dobrze założyć rodzinę. I jeżeli ktoś wybiera kapłaństwo, gdyż nie czuje się zdolny do małżeństwa czy rodzicielstwa, to jest to wybór fatalny. Tylko że wcale nie chodzi o to, jak *człowiek* chce i sądzi, że może służyć Bogu. Chodzi o to, jak *Bóg* chce, żeby ktoś mu służył. Powołanie kapłańskie opiera się na przekonaniu, że Chrystus chce, bym tak właśnie żył, że wybiera mnie do takiego właśnie sposobu życia. A jeżeli wybiera, to też uzdalnia.

Jest w tym konkretnym kapłańskim odejściu jednak jeszcze coś, co poniekąd jeszcze bardziej szokuje, niż słowa i zachowanie odchodzącego kapłana. Chodzi o reakcję wspólnoty. Na zapowiedź odejścia z kapłaństwa wielu zgromadzonych odpowiedziało aplauzem. Decyzja pozostawienia służby kapłańskiej została nagrodzona oklaskami, a następnie pozytywnie skomentowana na portalach społecznościowych.

Jak ocenić to wydarzenie? Obydwa jego elementy, zarówno decyzja kapłana, jak i reakcja wspólnoty, są dwiema formami tej samej niewierności, tego samego opuszczenia Chrystusa, pozostawienia Ukrzyżowanego i służby dla Niego. Tym, co najbardziej smuci, jest negatywna dynamika, jaką takie wydarzenia wyzwalają. Można zapytać, jak czuje się współczesny wierzący dwudziestokilkulatek, który rozważa ewentualność wejścia na drogę kapłaństwa? Tak się składa, że piszący te słowa podejmował decyzję o pójściu do seminarium duchownego równo przed czterdziestu laty. Wydaje się, że jemu i jego kolegom w tamtym czasie łatwiej było to uczynić, niż dzisiejszym młodym mężczyznom. Z jednej strony kandydaci do seminariów odczuwali wtedy nacisk komunistycznej ideologii, a zbyt wczesne ujawnienie zamiaru pójścia do seminarium mogło się zakończyć oblaniem matury lub też otrzymaniem bezpośrednio po niej „biletu” do wojska – jak to wówczas określano. Dwa lata indoktrynacji w jednostce wojskowej sprawiały, że z niejednej głowy ulatywał pomysł pójścia do seminarium. Ale z drugiej strony czuli oni niezwykle mocne wsparcie ludzi wierzących, ich wdzięczność, ich

modlitwę i życzliwość, a także tą specyficzną formę radości i dumy, jakby czyjaś decyzja pójścia do seminarium była ich własnym sukcesem. Ówcześni kandydaci wiedzieli doskonale, że jako księża zostaną przyjęci przez wspólnoty z wielką wdzięcznością i będą wspierani, a jeżeli trzeba – także napomniani.

Dzisiejszy kandydat do seminarium odnosi nierzadko wrażenie, że obok wyzwania, jakim jest związane z celibatem wyrzeczenia się małżeństwa i własnej rodziny, będzie musiał zmierzyć się z samotnością we wspólnocie, której będzie posługiwał, gdyż niewielu będzie go wspierało w jego decyzji pozostawania księdzem. Będą też tacy, którzy nie będą szczędzili krytyki, a inni pozostaną obojętni, jakby tylko czekali na kolejne odejście, które potwierdzi ich sceptycyzm wobec katolickiego kapłaństwa.

Taka atmosfera jest dla powołań kapłańskich czymś w rodzaju mrozu w środku wiosny, który niszczy kwiaty i uniemożliwia zawiązanie się owoców. Okazuje się, że głębokiego nawrócenia potrzebują nie tylko sami kapłani, ale także wielu świeckich katolików. Bez niego ostry niedobór kapłanów w Polsce jest tylko kwestią czasu.

Sierpień 2019

Po Białymstoku

Przejawy czynnej agresji wobec uczestników marszu równości w Białymstoku stanowią dla wielu komentatorów potwierdzenie, że mniejszości seksualne są w Polsce prześladowane. Nie ulega oczywiście najmniejszej wątpliwości, że każda czynna napaść na drugiego człowieka, z jakiegokolwiek powodu i w imię jakichkolwiek, nawet ważkich celów i wartości, zasługuje na zdecydowane potępienie. Pobicie czy znieważanie kogokolwiek, kto myśli i odczuwa inaczej, jest niedopuszczalne, a z chrześcijańskiego punktu widzenia jest po prostu poważnym grzechem przeciwko miłości bliźniego. Tylko czy wyprowadzane z tych wydarzeń wnioski są prawdziwe i czy można mówić o nienawiści i prześladowaniu w Polsce osób spod znaku LGBT?

Najpierw trzeba wskazać na kompletne zachwianie proporcji. Czy doprawdy marginalne ekscesy mogą być traktowane jako przejaw nienawiści obejmującej większość społeczeństwa? Taka właśnie interpretacja jest częścią taktyki środowisk LGBT, których wzmożona aktywność w roku wyborczym nie może nie zostać zauważona. Najbardziej irytujące w całej tej sprawie jest utożsamianie każdego, kto sprzeciwia się programowi tego środowiska, z postawą nienawiści. Łatka nienawistnika zostaje przypięta już nie tylko

poszczególnym ludziom, ale także partiom, środowiskom czy nawet większości społeczeństwa, a więc wszystkim tym, którzy nie chcą brać udziału w marszach równości i nie popierają podnoszonych tam postulatów. Najmniejszy przejaw agresji czynnej lub słownej wobec przedstawicieli środowiska LGBT staje się natychmiast tematem medialnym w kraju i poza Polską, nierzadko opatrzone komentarzem, że Polska jest w Europie (wraz z Węgrami) najbardziej homofobicznym krajem.

Odcinając się zdecydowanie od czynnej agresji wobec kogokolwiek, także wobec przedstawicieli mniejszości seksualnych, wierzący chrześcijanin, dla którego jasne stanowisko Biblii w tej kwestii jest autorytatywne, nie może jednak dać się zapędzić w kozi róg i powinien jasno sformułować argumenty, które każą mu sprzeciwiać się ideologii związanej ze środowiskiem LGBT.

Akronim ten oznacza po prostu grupę lobbystyczną o międzynarodowym zasięgu, mającą do dyspozycji ogromne fundusze i cieszącą się poparciem liberalnych elit politycznych i liberalnych mediów. Jej przedstawiciele deklarują, że walczą o równe prawa dla gejów, lesbijek oraz osób bi- i transseksualnych, w tym przede wszystkim o prawo do zawarcia małżeństwa, które przecież jest jednym z podstawowych praw człowieka. Już w tym miejscu mamy do czynienia z istotną manipulacją, którą trzeba nazwać po imieniu. Prawa do zawarcia małżeństwa gejom lesbijkom i osobom inaczej-seksualnym nikt nie odbiera. Tak, każdy gej i każda lesbijka mają prawo do zawarcia małżeństwa, bo ma je każdy człowiek! Prawo takie mają, ale wcale nie chcą z niego korzystać, gdyż nie chcą zawrzeć trwałego związku między mężczyzną i kobietą, a taki właśnie związek jest małżeństwem. Zamiast tego chcą by ich jednopłciowym związkom nadać rangę małżeństw, a więc chcą prawnej i społecznej redefinicji małżeństwa. Dążą po prostu do zmiany całej struktury życia społecznego, zmierzającej ostatecznie w kierunku stworzenia całkowicie odmiennego społeczeństwa.

Taki postulat jest programem politycznym, z którym można, a z chrześcijańskiego punktu widzenia nawet trzeba się nie zgadzać. I nie wolno dać sobie wmówić, że brak zgody na czyjś program polityczny miałby być oznaką nienawiści do osoby, która go popiera. Absurdem jest zarzucanie wierzącym nienawiści jedynie dlatego, że zdecydowanie odrzucają niezgodny z Ewangelią program polityczny środowisk LGBT.

Powtarzanie takiego zarzutu jest, jak się o tym znowu można było przekonać, częścią kampanii lobbingsowej tego środowiska. Celem jest przekonanie szerokich kręgów społeczeństwa, że nie tylko nie wypada sprzeciwiać się promowaniu związków jednopłciowych, gdyż byłoby to znakiem zaściankowości i zacofania wobec postępu

społecznego, ale że taki sprzeciw jest wyrazem nienawiści, a przecież nienawiść jest czymś odrażającym. Jeżeli uda się to społeczeństwu wmówić, wtedy szybko stanie się możliwe przeprowadzenie zmian prawnych i systemowych, gdyż szerokie kręgi opinii publicznej, także kościelnej, zamilkną i nie będą miały odwagi jasno wyrazić swojego sprzeciwu.

Szacunek dla drugiego człowieka nie musi jednak wcale oznaczać popierania (także milczącego) jego politycznych przekonań i postulatów. Otwarte wyrażanie sprzeciwu wobec czyichś politycznych postulatów nie jest też w żadnym wypadku przejawem nienawiści. W tym wypadku jest po prostu sprzeciwem wobec destrukcji fundamentu, na których opiera się nasza cywilizacja. Tym fundamentem jest silna rodzina oparta na trwałym małżeństwie, a więc związku jednego mężczyzny z jedną kobietą. Nota bene, dającym do myślenia znakiem czasu jest fakt, że tę podstawową prawdę trzeba aż tak wyraźnie wyrażać i powtarzać.

Wrzesień 2019

Jesienna zaduma

Wrzesień w jakiś naturalny sposób wywołuje jesienny nastrój, który ma swoją niepowtarzalną specyfikę. U większości z nas czas letni, który jest także czasem urlopu, niemalże automatycznie dzieli rok na dwie połowy. Z początkiem września człowiek z jednej strony wraca myślą z tęsknym westchnieniem do wakacyjnych wojaży, a z drugiej – mentalnie przygotowuje się na jesienno-zimowe słoty i chłody. Dla kogoś, kto ma szczęście żyć w pewnym sensie w czterech różnych „światach”, tzn. w kontekście czterech zupełnie różnych pór roku, wrzesień staje się miesiącem dokonywania przetasowań i zmian, począwszy od zmiany ubrania, poprzez psychiczne dopasowanie się do coraz krótszego dnia, aż po konieczność dania sobie rady z perspektywą nadchodzącej zimy i długim czasem, jaki dzieli od następnych wakacji.

Ale te jesienne procesy, które zachodzą w przyrodzie, mogą być postrzegane również jako swoiste metafory. Mogą stać się obrazem doświadczeń charakterystycznych dla życia duchowego. Podobnie jak zmiany w przyrodzie, życie duchowe ma również charakter procesu. W pewnym sensie można także mówić o cyklicznych zmianach, chociaż nie są one tak regularne, jak to ma miejsce w przypadku pór roku.

Wskazałbym na trzy doświadczenia, charakterystyczne dla życia duchowego, których obrazami mogą być procesy zachodzące w jesiennej przyrodzie. Pierwszym z nich jest

owocowanie. Jesień to czas dojrzewania i zbierania owoców. To one, a nie wspaniałe wiosenne kwiaty, są w życiu roślin najistotniejsze. W odróżnieniu od czasu kwitnienia, dojrzewanie owoców jest procesem długotrwałym. Wymaga ono czasu i odpowiednich warunków, jest w pewnym sensie „mozolne” i mało spektakularne. Odrobinę antropomorfizując, można by powiedzieć, że owoce, kiedy dojrzewają, nie robią wokół siebie hałasu. Podobnie jest także w życiu duchowym. Czasy zachwytu i wspaniałe emocjonalne przeżycia są chwilowe. Żeby modlitwa mogła trwale rzeźbić ludzkie serce, a więc także ludzką osobowość, potrzeba długiego czasu, mało dostrzegalnej, szarej pracy. Jeżeli człowiekowi nie zabraknie determinacji, nadejdzie czas owocobrania, w którym będzie mógł ostatecznie cieszyć się owocami swojego duchowego wysiłku. Jest to czas pełni, czas wewnętrznej pewności, że warto było podjąć wysiłek; że dzięki niemu człowiek rozwija się i wewnętrznie dojrzewa; że życie duchowe toczy się na głębszym, już nie tak powierzchownym poziomie. Są to w życiu duchowym „wielkie godziny” owocobrania.

Okres cieszenia się owocami nie trwa jednak wiecznie. Po nim, jak to ma miejsce w jesiennej przyrodzie, przychodzi *obumieranie*. Po wydaniu owoców, przyroda jest jakby wyczerpana i gaśnie, czego przejawem są opadające liście drzew. Te przyrodnicze zjawiska są metaforą okresów pozornego regresu w życiu duchowym, gdy odnosi się wrażenie, że świeżość wiary i jej przejawów jakoś wyblakła, że pozostały jedynie sztywne schematy. Dawne zwyczaje i formuły modlitewne już nie dają radości, wydają się być martwe a całe życie duchowe zamiera. Człowiek próbuje poprzez wzmożony wysiłek zachować i ocalić dotychczasową żywotność swojego życia duchowego, jednak te usiłowania zdają się nie dawać żadnego rezultatu. Człowiek doświadcza frustrującego poczucia zastoju, które jest szczególnie dotkliwym duchowym dyskomfortem.

I wreszcie trzecie duchowe doświadczenie, którego metaforą jest późnojesienna przyroda: *oczekiwanie*. Późną jesienią, gdy drzewa tracą już swoje liście, odnosi się wrażenie, że przyroda całkowicie zastygła. Procesy życiowe zatrzymały się i nic się nie dzieje. Ktoś, kto nie byłby obyty ze zmieniającymi się porami roku, mógłby odnieść wrażenie, że jesienne obumieranie jest ostateczne, że drzewa rzeczywiście umarły i że ta śmierć jest ostateczna. W życiu duchowym ten czas jest symbolem kryzysu, duchowej szarugi. Duchowa niepogoda sprawia, że nadzieja na ożywcze spotkanie z Bogiem zostaje wystawiona na bardzo poważną próbę. Najtrudniejsza bywa pojawiająca się w takich okresach pokusa, że tak będzie już zawsze, że żaden wysiłek duchowy nie ma sensu, że duchowy potencjał całkowicie się wypalił.

Sztuka życia duchowego polega właśnie na tym, by czas obumierania przemienić w czas oczekiwania, by nie dać się zwieźć pokusie, że życie duchowe zamarło. Wierność w czekaniu na ożywczą Bożą łaskę sprawia, że po czasie pozornej duchowej śmierci nastąpi znowu duchowa wiosna, która pozwoli rozkwitnąć nowym duchowym kwiatom, a te po czasie wydadzą nowe duchowe owoce. I chociaż proces duchowego pulsowania rozpocznie się potem od nowa, będzie się on już toczył na innym, głębszym poziomie.

Październik 2019

Samotny protest

Jedną z medialnych bohaterek ostatnich tygodni stała się szwedzka nastolatka, Greta Thunberg. Ta szesnastoletnia aktywistka ekologiczna od września 2018 r. opuszczała w każdy piątek zajęcia szkolne, by w ramach samotnej pikiety pod szwedzkim parlamentem domagać się podjęcia zdecydowanych środków w celu zatrzymania zmian klimatycznych, zmniejszenia emisji CO² i zatrzymania procesu wymierania gatunków. Dzięki medialnej popularności została zaproszona m.in. do Parlamentu Europejskiego, a we wrześniu 2019 r. wystąpiła na forum szczytu klimatycznego, który odbył się w Nowym Jorku. Jej płomienny apel, który był także oskarżeniem o bierność w kwestii ochrony klimatu skierowanym do przywódców państw, obił się szerokim echem w mediach światowych. Wykorzystując swoją popularność, Greta Thunberg zainicjowała również Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, który został podjęty przez młodzież wielu państw.

Jeżeli zostawimy przez chwilę na boku samą kwestię zmian klimatycznych i pytanie o słuszność stawianych w związku z tym postulatów, to nie ulega wątpliwości, że postawa tej młodej osoby może robić wrażenie. Jej determinacja, młodzieńcza szczerść i klarowne komunikaty zaskarbiły jej sympatię wielu osób i środowisk. Oczywiście trzeba dostrzec również rolę, jaką w uzyskaniu tak wielkiej popularności odegrały media i organizacje proekologiczne. Greta stała się ikoną inicjatyw ekologicznych dzięki życzliwemu nagłośnieniu jej postawy, słów i inicjatyw w przestrzeni medialnej. Obecnie nie jest to już samotny protest, ale ogólnoświatowa akcja, której szwedzka nastolatka jest wprawdzie ikoną, która jednak jest moderowana przez wpływowe środowiska i społeczności spod znaku eko. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś postronny, bez intensywnej pracy lobbystów i grup nacisku oraz odpowiedniego zaangażowania najbardziej wpływowych mediów, uzyskał możliwość

przemawiania na takim wysokim forum, jakim był szczyt klimatyczny, a do tego mógł bezkarnie zwrócić się do przywódców państw słowami: „Ukradliście moje marzenia i moje dzieciństwo swoimi pustymi słowami [...]! Jak śmieliście!” i nie tylko wzbudził nimi burzę oklasków na sali, na której siedzieli ich adresaci, ale jednocześnie spotkał się z ogólnoświatowym zrozumieniem, podziwem i aprobatą.

Nie ulega wątpliwości, że kwestia ochrony środowiska staje się kwestią coraz bardziej palącą, nawet jeżeli nie wszystkie alarmujące opracowania, dotyczące np. wpływu działalności człowieka na zmiany klimatyczne są do końca wiarygodne. Stąd inicjatywy, które zmierzają do ochrony środowiska zasługują generalnie na poparcie. Trzeba jednak również krytycznie przyrzeć się ruchowi związanemu z osobą Greta Thunberg, szczególnie ze względu na jej oskarżenia wobec obecnie rządzących polityków i jednostronne przypisywanie im winy za dewastację świata, w którym dzisiejsi nastolatki będą musieli w przyszłości żyć. Kluczowy problem wcale nie leży wyłącznie po stronie polityki. Największym problemem nie są tu bowiem decyzje polityczne, ale mentalność konsumpcyjna, która z jednej strony napędza produkcję i dystrybucję dóbr konsumpcyjnych, a więc także zwiększa zużycie energii, produkcję odpadów i dewastację środowiska, z drugiej zaś staje się źródłem nacisku na rządzących i polityków. Wszelkie próby zmiany logiki opartej na koncepcji nieograniczonego i niemożliwego do zatrzymania postępu są równoznaczne z natychmiastowym spadkiem popularności i oznaczają ostatecznie eliminację polityka lub jego partii w kolejnych wyborach. Zresztą można się zastanawiać, czy jakiegokolwiek dobrowolne ograniczenie konsumpcji, równoznaczne z pewnym obniżeniem poziomu życia, jest w ogóle możliwe w sytuacji, gdy cała światowa ekonomia opiera się na nieustannym napędzaniu wzrostu gospodarczego. Warto w tym kontekście przypomnieć słowa papieża Franciszka z encykliki „*Laudato Si*”: *Wobec nienasyconego i nieodpowiedzialnego rozwoju, jaki nastąpił w ciągu wielu dziesięcioleci, trzeba także pomyśleć o zwolnieniu nieco kroku, wprowadzeniu pewnych racjonalnych ograniczeń, a także o wycofaniu się, zanim będzie za późno* (LS 193).

Wśród transparentów niesionych przez młodych ludzi w czasie wrześniowego Młodzieżowego Strajku Klimatycznego w jednym z polskich miast widniał napis: „Chcemy żyć naturalnie”. Można i trzeba zapytać, co to może dla dzisiejszej młodzieży znaczyć? Czy pokolenie mediów społecznościowych, fast foodów i markowych ubrań będzie w ogóle potrafiło żyć naturalnie? Czy współczesna młodzież, żyjąca powszechnie bardziej w wirtualnym niż realnym świecie, będzie w stanie kiedyś ograniczyć używanie urządzeń elektronicznych, których produkcja, dystrybucja i eksploatacja konsumuje ogromne ilości

energii? Czy nadchodzące pokolenia wykonają zdecydowany krok w kierunku zmniejszenia konsumpcji, uproszczenia życia, a przede wszystkim w kierunku bardziej sprawiedliwego dostępu do dóbr naszej planety? Czy inicjatywa szwedzkiej nastolatki jest zapowiedzią nowych pokoleń, która wyzbęda się iluzji o niepohamowanym wzroście gospodarczym i nie będą oczekiwały rozwiązania wszystkich problemów społecznych i gospodarczych jedynie dzięki coraz to bardziej wyrafinowanej technice? Już za dwie lub trzy dekady pokolenie Greta Thunberg zacznie decydować o losach świata i otrzyma szansę, by żyć bardziej naturalnie. Nie ma podstaw, by wątpić w dobre intencje dzisiejszej młodzieży, choć na razie nie ma także przekonujących powodów do optymizmu w tej kwestii.

Listopad 2019

Serce mówi do serca

Chociaż zdanie „Cor ad cor loquitur”, które John Henry Newman obrał za swoje kardynalskie zawołanie, zostało zaczerpnięte z tradycji teologicznej (od św. Franciszka Salezego), oddaje ono bardzo dobrze charakter i drogę życiową tego niezwykłego angielskiego konwertyty. Newman może być niewątpliwie nazywany człowiekiem serca, i to w podwójnym znaczeniu tego słowa. W czasach Newmana, jak to nadal ma miejsce dzisiaj, serce traktowano jako symbol sfery emocjonalnej w człowieku. Jest to sfera, w której są zanurzone wszystkie ludzkie wolitywne i intelektualne akty. Tam, gdzie człowiek działa świadomie i w sposób wolny, nigdy nie odbywa się to bez udziału sfery emocjonalnej. Nigdy nie jest to jedynie matematyczna analiza rzeczywistości czy też wybieranie optymalnej opcji, jak to ma miejsce w przypadku komputera. W opozycji do dominujących prądów myślowych w XIX w., jakimi były naturalizm i empiryzm, myśl Newmana otwierała się na zaniedbaną sferę emocjonalną człowieka i ją dowartościowywała.

Ale Newmanowskie „serce” ma jeszcze inne, głębsze znaczenie, sięgające biblijnego znaczenia tego słowa. Ani Stary Testament, ani też kanoniczne Ewangelie Nowego Testamentu nie mają specjalnego słowa na określenie sumienia, ale w jego miejsce mówią właśnie o sercu. Nie jest ono tu symbolem emocji i uczuć, ale określa centrum osoby, najgłębsze wnętrze ludzkiej jaźni, w którym dokonują się wybory moralne. Jednym z niewątpliwych arcydzieł Newmana jest powstały w 1875 „List do Księcia Norflok”, który jest mistrzowskim traktatem o sumieniu. Dzieło to jest jednym z szeregu pism apologetycznych, w których Newman pragnie

odpowiedzieć swoim ówczesnym krytykom i adwersarzom z Kościoła anglikańskiego. Na ich prowokacyjny zarzut, że stając się katolikiem, rezygnował on ze swojego sumienia, całkowicie poddając się nakazom papieża, Newman odpowiada, nazywając zarówno papieża, jak i sumienie tym samym określeniem: „namiestnik Chrystusa”. Zarówno sumienie, jak i autorytet papieski spełniają tę samą funkcję: mają strzec jednej i tej samej Bożej Prawdy. Właściwie zatem rozumiane, obie instancje nie są nigdy dla siebie konkurentami, ale sprzymierzeńcami człowieka w jego poszukiwaniu właściwej i prawdziwej życiowej drogi.

Zwrot Newmana w kierunku katolicyzmu nie był wynikiem nagłego emocjonalnego przeżycia, ale stopniowej, wieloletniej ewolucji poglądów. Opuszczając Kościół anglikański po długich latach poszukiwań, walk wewnętrznych, studiów i rozmów, Newman niewątpliwie wstrząsnął swoją pierwotną wspólnotą. Ale również dla swojego nowego duchowego domu stanowił niemały wstrząs, wnosząc nowe idee, które stawiały pod znakiem zapytania niektóre utarte już w Kościele katolickim teologiczne drogi. Kiedy rozpoczęła się jego duchowa wędrówka w stronę katolicyzmu, Newman był u szczytu swojej kariery jako błyskotliwy i wpływowy młody teolog w najbardziej renomowanym środowisku akademickim ówczesnej Anglii, jakim był Oksford, autor traktatów czytanych i komentowanych w całej anglikańskiej wspólnocie. Idąc za głosem sumienia, nie tylko stracił wszystko, co do tej pory zbudował, ale w Kościele katolickim wcale nie został przyjęty z entuzjazmem, ale z nieufnością i dystansem. Dopiero u kresu życia jego geniusz został dostrzeżony, kiedy papież Leon XIII w 1879 r. uczynił Newmana kardynałem. Choć ta decyzja zaskoczyła wielu katolików, a oburzyła jeszcze więcej anglikanów, docenienie angielskiego konwertyty musiało być dla Leona XIII na tyle istotne, że Newman znalazł się wśród pierwszych kardynałów, jakich mianował nowo wybrany papież.

Osobowość Newmana nie mieści się w żadnych utartych schematach. Dumny, świadomy własnej wartości oksfordzki intelektualista staje się pokornym oratorianinem; świeżo nawrócony konwertyta nie tylko nie odwraca się od swej macierzystej wspólnoty, ale wnosi do Kościoła katolickiego nowe idee, które sprawiają, że Newman jest traktowany jako jeden z intelektualnych ojców i prekursorów soboru watykańskiego II.

Dla nieobeznanych z tematyką teologiczną i dyskursem akademickim pisma Newmana mogą stanowić niemałe wyzwanie. Czytając np. „Apologia pro vita sua” – obszerną autobiografię, opisującą dzieje przemiany poglądów teologicznych Newmana, czytelnik zostaje skonfrontowany z niemałą liczbą nazwisk, okoliczności i szczegółów teologicznych, które są mało zrozumiałe i nie mają już dzisiaj większego znaczenia. Ale pomiędzy wierszy

tego teologicznego traktatu, przebija niezwykle sugestywnie naszkicowana postać kogoś, kto w całej szczerości swojego serca pragnie szukać Boga i Jego Prawdy; postać kogoś, kto gotów jest porzucić wszelkie zaszczyty, zaryzykować wszelkie przyjaźnie i pozostawić każdy utarty szlak, gdy odnajdzie jasne ślady Tego, który mówi z Serca do serca. Newman to niewątpliwie odpowiedni patron na nasze pogmatwane i niespokojne czasy.

Grudzień 2019

Dlaczego ciągle jeszcze czekamy?

Zgodnie z katolicką tradycją adwent jest czasem oczekiwania. Zazwyczaj dodaje się: oczekiwania na przyjście Mesjasza – Zbawiciela. Ale skoro chrześcijanie uznają, że Jezus z Nazaretu, który pojawił się na świecie dwa tysiące lat temu, jest Chrystusem, czyli Mesjaszem, a tym samym – Zbawicielem, to co oznacza to coroczne oczekiwanie? Kiedy na ten temat rozmawia się z osobami wyznania mojżeszowego, które ciągle jeszcze czekają na przyjście Mesjasza, słyszy się zazwyczaj, że Chrystus nie może być zapowiadany Mesjaszem, bo gdy przyjdzie Mesjasz, wszystko się radykalnie zmieni na lepsze. A co się zmieniło wraz z przyjściem Chrystusa? – pada pytanie. Czy świat jest dzisiaj lepszy, niż był kiedyś?

Na ten zarzut można odpowiedzieć innym pytaniem: w jaki sposób Mesjasz miałby radykalnie zmienić świat na lepsze? Miałby zmusić ludzi do czynienia jedynie dobra i Boską mocą uniemożliwić im czynienie zła? Nowy świat zbudowany na przymusie czynienia dobra byłby na pewno innym światem, ale czy naprawdę lepszym? Jedno jest pewne: byłby światem, w którym nie ma wolności. Byłby jednym wielkim globalnym więzieniem, w którym ludzie wprowadziliby nie wyrządzałyby krzywdy, ale czy przez to potrafiliby bardziej kochać i byłiby szczęśliwi? A przede wszystkim – czy byłiby jeszcze tymi samymi ludźmi, którzy zostali wymyśleni i postawieni na Ziemi przez Stwórcę w zaraniu ludzkości?

Wraz z przyjściem Chrystusa naprawdę zmieniło się wszystko i to radykalnie. Każdy człowiek może radykalnie zmienić swoje życie, a tym samym część świata, w którym żyje, na lepsze. Ma do dyspozycji światło Ewangelii i moc Bożej łaski. Może zmienić świat, jeżeli tylko tego chce. Bożego kształtu świata nie da się zakonserwować raz na zawsze. Każdy człowiek i każde kolejne pokolenie otrzymuje taką samą szansę i taką samą wolność wyboru. Oznacza to jednak także, że każdy człowiek i każde pokolenie może także odrzucić Bożą ofertę, odrzucić

możliwość spotkania z przychodzącym Bogiem. I dlatego ten powtarzający się co roku adwent jest tak ważnym i potrzebnym czasem.

W życiu każdego człowieka powtarza się niejako cała historia zbawienia. Zapraszanie i wypraszenie Boga, przyjmowanie i odrzucanie Jego łaski, przychodzenie i odchodzenie od Niego, fazy wysiłku w kierunku dobra i fazy płynięcia z prądem bylejakości i świadomego czynienia zła – to jest kluczowy powód, dlaczego świat nie staje się lepszy. Zmiana świata na lepsze to nie jest kwestia odgórnych zarządzeń i mądrej polityki – jakkolwiek są one użyteczne i potrzebne –, ale jest to owoc decyzji pojedynczych ludzi, którzy postanawiają, by wreszcie otworzyć serce i pozwolić Zbawcy przyjść. Przyjść i pozostać.

Poza tym mocno osobistym wymiarem adwent ma jeszcze jeden wymiar: jest przygotowaniem na powtórne przyjście Chrystusa, które w teologii nazywa się Paruzją. Wyobrażenie o dziejach świata, w którym pojawił się człowiek, zmieniało się wielokrotnie wraz ze wzrostem wiedzy o dziejach Kosmosu. W stosunku do wyobrażeń chrześcijan pierwszych wieków współczesny obraz Wszechświata i miejsca człowieka w nim jest całkowicie odmienny. Ale jedno pozostaje: obecny kształt świata nie jest wieczny, miał swój początek i kiedyś dobiegnie swojego kresu. Spojrzenie wiary wiąże kres dziejów z powtórным przyjściem Chrystusa, który – jak to formułuje chrześcijańskie wyznanie wiary – przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Adwentowe przypomnienie o Paruzji pozwala ujrzeć wszystkie sprawy we właściwych proporcjach. Pozwala na spojrzenie na własne życie i wydarzenia, które się w nim dzieją w perspektywie całej prawdy o ich znaczeniu i wadze. Pozwala też na podjęcie decyzji, które są niezbędne, by Boże Narodzenie stało się głęboko przeżywaną prawdą, a nie tylko zewnętrzną celebracją.

W liturgii pierwszej niedzieli adwentu w tym roku rozbrzmiewają słowa z Listu św. Pawła do Rzymian, które mogą stać się mottem dla całego adwentu: *Rozumieście chwilę obecną: teraz nadeszła dla was godzina powstania ze snu. Teraz bowiem zbawienie jest bliżej nas niż wtedy, gdyśmy uwierzyli. Noc się posunęła, a przybliżył się dzień. Odrzućmy więc uczynki ciemności, a przyobleczmy się w zbroję światła* (Rz 13, 11-13).

Ks. Marian Machinek MSF